TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 25. Chicago, Ill., Czwartek, 23-go Czerwca, 1898 Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— Jakże to się starać, batiuszka. Gosposia mi umarła, a z rękawa toć pono drugich dzieci nie wytrzęsiesz.

— To i cóż! — powiedział car, niby chcąc pocieszyć strzemiennego — da Bóg, jeszcze sobie jaką kobiecinę znajdziesz.

Micheicz znajdował nie małą przyjemność w rozmowie z carem.

— A tego dobrego przecież można znaleźć — odpowiedział z uśmiechem — ale nie mam ja ochoty do bab, batiuszka carze, i starym już przecie człek się robi do takich rzeczy.

— Baba a baba — nie jedno — rzekł Jan i wziąwszy Onufrowę za ramiona, zawołał pchając ją na strzemiennego.

— Masz gosposię, kochajcie się i...

Opricznicy zrozumięli carski żart i gruchnęli głośnym śmiechem, a Micheicz z zdumieniem wejrzał na Jana, czy sobie czasem nie kpi? lecz na twarzy Jana nie było uśmiechu.

Zaiskrzyły się martwe oczy mamczyne.

— Bluźnierco ty jakiś — zakrzyknęła na Jana — bezbożniku! Ja ci dam kpić sobie ze mnie! Bluźnierco, tfu! heretyku jakiś!

Stara zaczęła stukać kosturem o ganek, nos jej zsiniał a wargi żuły zapamiętale.

Jan mówił:

— Dość, babciu, dość! nie wzdrygaj się, swatam ci dobrego męża, będzie cię kochał, pieścił i rozumu uczył. A weselisko sobie

dzisiaj po nieszporach urządzimy. No staruszku, jakżeż ci się gosposia podoba?

Micheicz w strachu ledwie zdołał wymówić:

— Zlituj się, batiuszka carze.

— No? alboż ci się nie podoba?

— Jakżeż tam podoba! — wyjęknął strzemienny i cofnął się w tył.

— Przyzwyczaisz się do niej, to i pokochasz, a ja ją dobrze wyposażę.

Micheicz z przerażeniem spojrzał na mamkę, którą car precz jeszcze trzymał za kaftan.

— Batiuszka Iwan Wasiljewicz! — krzyknął nagle, padając na kolana — ścinaj mi głowę, ale nie żądaj bym się shańbił w tak ohydny sposób! Idę z głową pod topór, lecz się nie ożenię z jej poczciwą miłością, kura ją rodziła!

Iwan Wasiljewicz kilka chwil nic nie mówił nagle zaczął się śmiać do rozpuku.

— No — rzekł, puściwszy już w końcu Onufrowę, która czemprędzej odeszła z pluwaniem i wymysłami — róbcie jak wam się spodoba. Chciałem tylko waszego szczęścia, przemocą zaś żenić was nie będę, Nikito, podejdź sam, daruję ci drugą winę. A tych oberwańców do opricznictwa nie biorę, moje zuchy mogą się jeszcze obrazić. Niechaj idą do Żyzdry do pogranicznego pułku. Kiedy mają chętkę na Tatara, dla nich tam miejsce najlepsze. Ty zaś — mówił dalej car nadzwyczaj łagodnym głosem, bez zwykłego żartobliwego tonu, przyczem położył rękę Srebrnemu na ramię — ty zostaniesz u mnie. Pogodzę cię z opricznictwem. Jak poznasz nas lepiej, nie będziesz takim dzikim. Dobrze jest bić Tatarów, ale wrogami naszymi nie są tylko Tatarzy; są jeszcze gorsi od nich. Tych się naucz gryźć zębami i miotłą wymiatać.

Car poklepał Srebrnego po ramieniu, potem dodał łaskawie, zostawując mu na ramieniu rękę:

— Serce masz zacne a język twój nie zna obłudy, takich sług jak ty mi potrzeba. Zapisz się do opricznictwa, dam ci miejsce po Wiaziemskim; tobie wierzę, ty mnie nie sprzedasz.

Wszyscy opricznicy z zazdrością spojrzeli na Srebrnego: widzieli już nową świecącą gwiazdę, a ci, co stali dalej od Jana zaczęli już szeptać pomiędzy sobą i wyrażać swe niezadowolenie, że car, nie zważając na ich zasługi, stawia im nad głową włóczęgę, co uciekł z więzienia, zakorzeniałego bojarzyna starego książęcego rodu.

Lecz serce Srebrnego ścisnęło się od słów Jana.

— Carze — powiedział, przezwyciężając się — dzięki ci składam za twą dobroć — ale pozwól lepiej i mnie udać się do pogranicznego pułku. Tutaj nie mam, co robić nie przywykłem do zwyczajów Słobody, a tam będę służył twej carskiej miłości dopóki sił starczy.

— To, tak! — rzekł Jan, zdejmując rękę z ramienia Srebrnego — znaczy, niegodni jesteśmy jego książęcej miłości. Widać, ze złoczyńcami przestawać szlachetniejszą jest rzeczą, niż być moim opricznikiem! No i cóż, trudna rada! — ciągnął dalej z ironią car — nikomu nie narzucam się z przyjaźnią, i nikogo przemocą nie zatrzymuję. Jednakich jesteście obyczajów, to i służcie razem. Szczęśliwej drogi, rozbójniczy wojewodo!

I z pogardą wejrzawszy na Srebrnego, car odwrócił się doń plecami i odszedł do swych komnat.

XXXVIII.

Wyjazd z Słobody.

Godunow prosił Srebrnego, aby gościł w jego domu do wymarszu z oddziałem opryszków. Tym razem zaproszenie było szczerem, gdyż Borys Fedorowicz, zważający pilnie na każde słowo i na każdy ruch cara, upewnił się, że Jan więcej nie ma gniewu na Srebrnego, lecz pozostanie dla niego obojętnym.

Spełniając prośbę Maksyma, Srebrny prosto od cara zaszedł do matki swego przybranego brata i oddał jej krzyż jego. Staruszka już wiedziała o śmierci syna. Witała Srebrnego jak matka, lecz gdy kniaź spełniwszy posłannictwo, z nią się pożegnał, nie śmiała go zatrzymywać, bo się obawiała powrotu męża: z błogosławieństwy jeno

odprowadziła go do ganku.

Wieczorem, gdy Godunow pozostawił samego Srebrnego w sypialni, Micheicz dał zupełną swobodę swej radości.

— No, bojarze — mówił — w końcu i dla mnie po długiem zmartwieniu nastał wesoły dzionek! Przecie od tej chwili, Nikito Romanyczu, jak cię złapali, sam nie ... co się ze mną dzieje. Ciągle, to w Moskwie, to w Słobodzie pytam się, czy o tobie czego nie wiedzą. Jakem dzisiaj rano usłyszał, żeś z opryszkami wrócił do Słobody, ze wszystkich sił przypędziłem na carski podwórzec; a car już był na ganku! Ja przez chłopców dalejże do ciebie! za połę chciałem capnąć, aż tu masz-ci los! car mnie zobaczył. Ale miałem też strachu! całe życie nie zapomnę. Dwie msze jutro odprawię; jedną za twoje zdrowie, a drugą, że Bóg uratował mnie od tej wiedźmy.

Potem Micheicz zaczął opowiadać wszystko, co się z nim działo po ograbieniu domu Morozowa. Jak po odwiedzinach u Pierścienia, powróciwszy do młyna, zastał tam Helenę Dmitryewnę. Jak miał ją odwieść do wsi bojarzyna, dokąd jej męża uprowadzili słudzy podczas pożaru.

Srebrny z niecierpliwością słuchał wielokrotnych zboczeń Micheicza od istoty rzeczy.

— Przecie ja, Nikito Romanowiczu — mówił stary — ślepy nie jestem; chociaż milczę, wszystko jednak widzę. Przyznam ci się, batiuszka, okrutnie mi się nie podobało, jakeś do Drużyny Andreicza jeździł. Nie będzie to dobrego chleba z tej mąki, myślałem sobie, a i prawdę powiedzieć, grzech był patrzeć na ciebie batiuszka, jakeś siedział z nim przy jednym stole i pił z jednego kubka. Choć, przypuśćmy, tyś tutaj nie winien, i kto go wie, jak to do człeka przyplącze! No a teraz, ma się wiedzieć, rzecz inna, nie będzie miała przed kim zda... sprawy, królestwo ma niebieskie! Ale bo też to i za młody gołąbuszek, żeby wdówką został.

— Nie kuś mnie, Micheiczu — rzekł Srebrny z niezadowoleniem — mów lepiej gdzie jest teraz i co wiesz o niej.

— Poczekaj batiuszka, pozwól wszystko po kolei ci opowiedzieć. Oto racz słuchać. Jakem od opryszków do młyna wrócił, młynarz to, uważasz, mi mówi: zaleciał do mnie złocisty ptak, odwieź go, mówi, do króla Dałmata. Ja tu z początku nie zrozumiałem co to za ptak i co to za jakiś Dałmat. Dopiero jak mi pokazał bojarkę, tom się domyślił co się tu święci. Pojechaliśmy z nią do wsi Drużyny Andreicza. Z razu to ona nic, milczy sobie i oczu nie podnosi; potem po cichutku zaczyna się o męża pytać; a potem batiuszka, ni tudy ni siudy i o ciebie zahaczyła, tylko, uważaj batiuszka, nie tak szczerze, a niby, od niechcenia, odwróciwszy się w bok. To się już wie, że to kobieca sprawa! Ja jej opowiedziałem wszystko, com wiedział, a ona, łabędzik, jeszcze smutniejszą się uczyniła; główkę zwiesiła i całą drogę nic już nie mówi. Ale jak podjeżdżamy do wsi, moja pani, widzę, zaczyna mi się niepokoić. — Co to? — mówię — bojarko, raczysz być w strachu? — Ona, batiuszka, w płacz. Ja ją dalejże pocieszać: — Nie martw się mówię — bojarko — Drużyna Andreicz zdrów. A tu ona mi jeszcze więcej buczy. Ja tak sobie zerknąłem na nią i sam nie wiem co gadać. — I kniaź Nikita Romanowicz — mówię, chociaż w więzieniu, ale zdaje się, też musi być zdrów. Już batiuszka nie wiedziałem co jej powiedzieć, a zawsze coś powiedzieć trzeba. Jeno jakem o tobie wspomniał, batiuszka mój, gołąbka zaraz konia zatrzymuje. — Nie — mówi — dziadziu, nie mogę tam jechać. — Co to mówisz, bojarko, a co poczniesz? — Dziadziu — mówi — widzisz te złocone za lasem krzyże? — Widzę bojarko. — To — mówi — dziewiczy klasztor, poznaję te krzyże, odprowadź mnie tam dziadziu. Ja niby się wymawiam, ale ona na swojem: prowadź, prowadź! — Ja — mówi — z tydzień tam poczekam, pomodlę się, a potem dam znać o sobie Drużynie i przyśle po mnie. — Cóż robić! odprowadziłem ją batiuszka i zostawiłem u przełożonej klasztoru.

— Jak daleko ten klasztor? — spytał Srebrny.

— Od młyna, batiuszka, wiorst ze czterdzieści, od Moskwy dalej trochę. Będzie nam po drodze jak do Zyzdry pojedziemy.

— Micheiczu — rzekł Srebrny — uczyń

mi wielką przysługę. Przed ranem nie mogę ztąd wyruszyć i moi ludzie będą krzyż carowi całowali, ty zaś jedź natychmiast, bierz i drugą luźną szkapę, nie żałuj ani siebie ani koni, pędź do bojarki, opowiedz jej wszystko i proś żeby nic nie decydowała, aż się ze mną nie obaczy.

— Słucham, batiuszka, słucham. — A czy też nie obawiasz się czasami, żeby zakonnicą nie została? — Nie, batiuszka, to się nie stanie. Przejdzie roczek, popłacze i rzecz się skończy; bez tego się nie obejdzie. Jak tu nie płakać po Drużynie Andreiczu! A potem, mówię ci, wesele sobie wyprawimy. Przecieć całych wieków nie będziemy w smutku przepędzać.

Micheicz tej samej nocy puścił się w drogę do klasztoru, a Srebrny o świcie poszedł pożegnać się z Godunowem.

Borys Fedorowicz już był wrócił z jutrzni, bo, według zwyczaju, zawsze jej słuchał z carem.

— Coś się tak rano zerwał książę — pytał Nikity Romanowicza — my co innego; do tego przyzwyczajeni, ty zaś powinienbyś sobie lepiej wytchnąć po wczorajszem. A może ci u mnie przeszkadzali?

Jednak bystry wzrok Godunowa wydawał, że wie przyczynę, dla której Srebrny nie mógł spać.

Uprzejmość Borysa Fedorycza, jego nieudane współczucie dla kniazia, które tyle razy mu wykazał, a głównie zupełna różność jego we wszystkiem od innych dworaków, nadzwyczaj przyciągały ku niemu Nikitę Romanowicza. Przyznał się Borysowi, że miłuje Helenę.

— Wszystko to już dawno wiem — rzekł uśmiechając się Godunow. — Domyśliłem się o tem jeszcze podczas pierwszego twojego przyjazdu do Słobody, jakeś patrzał na Wiaziemskiego. A gdym naumyślnie poprowadził z tobą rozmowę o Morozowie, mówiłeś o nim nie chętnie, mimo to, żeś był z nim w przyjaźni. Oj, książę, niczego nie umiesz ukryć w sobie. Co tylko pomyślisz, wszystko się maluje na twej twarzy. I mówisz też zanadto otwarcie, pozwól, że ci zwrócę uwagę. Zląkłem się wczoraj o ciebie, a nawet trochę złościłem, jakeś od razu powiedział carowi, że nie chcesz się wpisać do opryczniсtwa.

— A cóż miałem mu odpowiedzieć, Borysie Fedoryczu?

— Było ci podziękować carowi i przyjąć jego łaskę.

— Chyba żartujesz Borysie Fedorowiczu, jakże też miałem za to dziękować carowi? Albož sam wpisany jesteś do opryczników?

— Ja, kniaziu, co innego. Wiem co czynię. Carowi się nie sprzeciwiam. On sam mnie wreszcie wpisać nie zechce, bom tak się już postawił. Ty zaś, gdybyś zajął miejsce Wiaziemskiego, i został carskim oręžnym, i byłbyś w łaskach u Jana Wasiljewicza, to przez to byś mógł całej ziemi się przysłużyć, z tobą we dwoje byśmy ręka w rękę postępowali i opryczniсtwo jeszcze byśmy podcięli.

— Nie, Borysie Fedorowiczu, tak czynić bym nie mógł. Sam przecie mówisz, że wszystko widać na mej twarzy.

— Dla tego, książę, że nie chcesz zapanować nad sobą, ani się przyniewolić. Gdybyś tak postanowił przemódz swą otwartość i choć dla oka został opryczníkiem, czegobyśmy z tobą nie zrobili! A cóż ja sam jeden? widzisz przecie, biję się, jak szczupak o lód, wszystkiego muszę się obawiać, każde słowo ważyć! A gdyby nas dwóch było koło cara siły by się podwoiły. Takich ludzi, jak ty, książę, jest nie wiele. Powiem ci otwarcie że od pierwszego spotkania naszego liczyłem na ciebie.

— Nie zdatnym ja do twoich celów Borysie Fedorowiczu. Ile tom ja razy starał się postępować, tak, jak to mówią chytrze — mądrze! i cóż? — zawsze głupstwo z tego wyszło. Ty, rzecz inna, daj ci Boże zdrowie, na tem zęby zjadłeś. Prawdę powiedziawszy, przykro mi było, że nieraz myślisz co innego i mówisz co innego. ale teraz widzę do czego zmierzasz i pojmuję że po twojej stronie jest słuszność. Chciałbym i ja, lecz nie mogę i nie stworzył już mnie Bóg do tego. Wreszcie na cóż mówić teraz o tem? Sam wiesz, że car na własne żądanie posyła mnie do pogranicznego pułku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stary Komedyant,

(POWIEŚĆ.)

(Ciąg dalszy.)

Ale i Karstner wydawał się dziś zupełnie innym, jak dawniej; był on dziś dziwnie niespokojnym, jakoby w febrycznej gorączce, co nigdy u niego nie bywało. Cała jego postać drżała nerwowo, gdy go Hilgendorf zaprosił do swego pokoju.

Mechanicznie podał ramię gospodarzowi i poszedł za nim kurytarzem do tylnego skrzydła domu.

— Tu jest moja siedziba, — rzekł Hilgendorf otwierając drzwi pokoju; — tu pracuję, a tam moja sypialnia; nikt mi tu nie przeszkadza ani w pracy, ani we śnie, tu też możemy załatwić interes bez obawy, aby Agata o tajemnicy się nie dowiedziała. Przyniosłeś pan garnitur?

Jubiler obejrzał się po pokoju, a wzrok jego zatrzymał się na biórku, o którym Gerdau był wspomniał.

— Oto jest garnitur, — odparł gorączkowo: — przekonaj się pan sam: ta sama oprawa, którą pan wybrałeś, te same kamienie — — —

Hilgendorf odebrał puzderko z ręki jubilera i otworzył je wpatrując się z uwagą; była to naramienniczka i naszyjnik gustownej roboty i bardzo kosztowny. Jako znawca badał Hilgendorf kamienie z nadzwyczajną pilnością.

— Pan wiesz, — rzekł z uśmiechem, — że nie mogę odstąpić od starych nawyknień; dokładnie ocenić i rzetelnie zapłacić, to moja zasada. Drobna pomyłka nie naprawiona w czas, pociąga za sobą nieraz bardzo nieprzyjemne skutki. Ale tu wszystko w porządku: — te same kamienie, które wybrałem, ta sama forma, której rysunek tak bardzo mi się podobał, a teraz tylko mi pozostaje, abym ten dar jutro wieczorem wręczył, a dziś należytość zaraz zapłacił.

To mówiąc otworzył szufladę i wyłożył przed Karstnerem banknoty. Jubiler tylko przelotnie na nie spojrzał, — w tej mierze mógł akuratności Hilgendorfa zupełnie zaufać, natomiast uważnie śledził okiem wszystkie jego ruchy i widział, jak tenże garnitur włożył w górną szufladę biórka i takową zwyczajnym kluczem zamknął. Nie było tu żadnego sztucznego zamka i w ogóle wszystko się zgadzało z tem, co Gerdau był przepowiedział.

Gdy obaj znowu przybyli do werandy ogrodowej, panowało tam między gośćmi głębokie milczenie, które Hilgendorfowi zaraz podpadło.

— Cóż się to młodzieży stało, że taka milcząca? — zapytał. — Czy może mam wezwać starego komika Macieja, aby cokolwiek humoru towarzystwu dodał?

— O humor już się stara pan Waller, — odpowiedziała Agata; — tylko że pan sam, panie Karstner, byłeś w braku innego przedmiotu, celem dowcipu swego kuzynka. On twierdzi, że ten biedny stary komedyant, któremu tu w pałacu daliśmy przytułek, niezmiernie do pana podobien i że pomiędzy nim a panem koniecznie bliskie musi być pokrewieństwo.

Hilgendorf się roześmiał.

— Istotnie uwaga ta przypomina mi własne spostrzeżenie; podpadło mi to samo przy pierwszem spotkaniu komedyanta. No, nie gniewaj się pan, kochany panie Karstner, — dodał widząc zasępioną twarz swego gościa, — toć przecież ani pańską winą, ani winą tego biedaka.

Karstner przymusowo się uśmiechnął.

— Spełniłeś pan uczynek miłosierny, — panie Hilgendorf, — rzekł, — dając starcowi przytułek; pokazywano mi tego gościa pałacowego, jak go we wsi nazywają, a ja mu dałem dukata, ale on go nie chciał przyjąć.

— Hm, dumna sztuka! — zauważył Emanuel.

— Że ten starzec tu znalazł przytułek, gdzie bardzo spokojnie się zachowuje i nikomu nie zawadza, to zasługa Feliksa, — odpowiedział Hilgendorf. — Stało się to w mojej nieobecności i nowym jest dla mnie dowodem szlachetności serca mojego zacnego Feliksa.

Oczy Agaty zapłonęły radością przy tej pochwale, którą ojciec jej dla Feliksa wypowiedział, podczas gdy Emanuel gniewnie przygryzł wargę.

— Ja bo nie lubię protegować ludzi, o których nikt nie wie, skąd przychodzą i dokąd idą, — zauważył Emanuel złośliwie. — W ich obecności nie mogę się oprzeć pewnej obawie, która mi nakazuje pilnować kieszeni. Co innego z panem Feliksem, — dodał szyderczo, znosząc hardo gniewne spojrzenia, które zewsząd ku niemu były skierowane, — co do niego, to sądzę, że własne jego nieznane pochodzenie — — —

— Panie Waller!

Wesoły zwykle ton pana Hilgendorfa tak surowo, że Emanuel mimowolnie zamilkł.

Feliks powstał, blady wskutek wewnętrznego poruszenia, ale na pozór zupełnie spokojny.

— Masz pan słuszność, panie Waller, — rzekł; — i ja należę do tych pariasów społeczeństwa, o których pochodzeniu nikt nie wie; i ja nie wiem, kto byli moi rodzice, nie znam miejsca mojego urodzenia, nie wiem, co to rodzinne gniazdo. Tu oto stoi ten, któremu wszystko zawdzięczam, a któremu odwdzięczyć się nie zdołam przez całe moje życie.

Nastała chwila milczenia. Emanuel patrzał zaambarasowany w ziemię, podczas gdy Hilgendorf uśmiechał się życzliwie.

— A jak pan do tego domu się dostałeś? Gdzie pan spędziłeś lata dziecinne? — zapytał wreszcie jubiler, aby rozmowie inny nadać kierunek.

— Młodość spędziłem w domu wiejskiego nauczyciela, — odpowiedział Feliks; jemu wychowanie moje powierzono, a on swój obowiązek sumiennie spełniał. Przypominam sobie także innego mężczyznę, ale jakoby przez sen tylko; przychodził on tylko raz do roku do naszej wioski i bawił przez cały dzień w domu nauczyciela. Miał on oblicze blade, a troska widocznie na nim pozostawiła ślady, a mimo to oko jego płynęło szczęściem wewnętrznem, gdy mię brał na rękę, całował i ze mną się bawił.

Feliks milczał przez chwilę pod naciskiem wewnętrznego poruszenia, a potem mówił dalej:

— Tak przepędziłem spokojnie pierwsze lata młodości. Miałem około sześciu lat, gdy nastały owe nieszczęsne czasy, które mię na inne rzuciły tory i na zawsze oderwały od tych, z którymi mię węzeł krwi łączył. Wojna, która wtenczas w całej Europie krwawe pozostawiła ślady, nie oszczędziła też naszej spokojnej wioski, co położona na pograniczu dwóch nieprzyjaznych państw, narażona była na najdotkliwsze ciosy wojny. Opiekun mój chciał ze mną uciec, ale zanim zamiar swój zdołał wykonać, już nieprzyjaciel przeszedł granicę, a obrońcy kraju wyszli przeciwko niemu. Nasza wioska była widownią pierwszego starcia. Opiekun mój schronił mię w sklepie domu swego, aby mię ocalić przed uderzającemi w dom kulami; trwoga wypędziła mię znowu z mojego schronienia do mieszkania, ale tam straszny mię oczekiwał widok: zabity granatem leżał zacny nauczyciel na ziemi.

— Z krzykiem wybiegłem z domu i uciekałem naprzód bez celu; nie wiedziałem co robię. Strach pędził mię pomiędzy walczących żołnierzy i pędzących jeźdźców, a żadna mię nie trafiła kula i nic mi się złego nie stało. Uciekałem coraz dalej od tego strasznego miejsca. Wreszcie ucichł za mną gwar walki, a natura dziecka, którego siły do najwyższego stopnia były naprężone, domagała się praw swoich; upadłem w zagajeniu w cieniu rozłożystej lipy, która mię konarami swemi osłoniła, a sen i omdlenie pozbawiły mię przytomności. [illegible] przyszedłem do siebie, byłem w pałacu Hilgendorf. Tygodnie upłynęły od tego dnia, w którym mię pan Hilgendorf znalazł w podróży. Popadłem w gwałtowną febrę, [illegible] tylko poświęceniu zmarłej szlachetnej ma[illegible] żonce mego dobroczyńcy zawdzięczam, [illegible]

— A ja nigdy tego nie żałowałem, co zrobiłem, — przerwał mu Hilgendorf. — Po ukończonej wojnie, czyniłem wszystko co tylko było w mojej mocy, aby się czegoś dowiedzieć o rodzinie dziecka, które tylko wiedziało tyle, że mu Feliks na imię, ale zabiegi moje były daremne.

I z uniesieniem mówił dalej:

— Pan Bóg pozwolił mi zastąpić ci miejsce, a teraz też chciałbym mieć prawo nosić to miano. Dawno już śledziłem ciebie i córkę moją: z niekłamaną radością dostrzegłem, że macie do siebie wzajemny pociąg serca, jakkolwiek ty, Feliksie, chłopiec bezimienny, nie śmiałeś jej innego prócz braterskiego okazywać uczucia. Ale ja czytałem w twojem sercu i w sercu własnego mojego dziecka — a Agata niech sama rozstrzygnie, czy mam cię tak nazywać, jak głos serca mojego dawno nazywał: synem moim!

Do głębi wzruszony padł Feliks do stóp swego opiekuna. Nie potrzebował on potwierdzenia Agaty; czytał on w jej oczach i czytał w jej sercu wyznanie, którego usta dziewicy nigdy nie zdradziły. Teraz ona rozpłomienione swe oblicze przytuliła do piersi ojca, a ten zrozumiał te łzy, które lica jej skrapiały.

Jak to często się dzieje, że wśród najuroczystszego nastroju śmieszny wypadek uniesionego ducha ściąga do poziomu, tak też i w tej chwili pojawiła się otyła postać pani dyrektorowej w czerwonej sukni i żółtym szalu. Wśród najpocieszniejszych dygów zapraszała wielmożne państwo na przedstawienie, mające się odbyć tego wieczora w stodole gościńca. Na uczczenie wielmożnego państwa miała być grana zupełnie nowa sztuka, w której komik Maciej cały swój humor miał rozwinąć.

Z zwykłą sobie wesołością korzystał pan Hilgendorf z tej sposobności, aby z poważnego nastroju towarzystwa przejść do weselszego tonu.

— Przyjmuję zaproszenie dla siebie i dla gości — rzekł, — i proszę zachować dla nas tuzin najlepszych miejsc. Staremu Maciejowi zaś poszlę ze swego sklepu butelkę wina i poproszę go, aby sił swoich zanadto nie wytężał.

— Wielmożny pan zanadto łaskawy, — odpowiedziała dyrektorowa, — tyle dobroci Bóg nie pozostawi bez nagrody. Szlachetna dobroczynność, mówi poeta — — —

— Bardzo mi żal tego starca, — przerwała jej Agata; gdyby on tu chciał pozostać, toby się u niego znalazło schronienie.

— Wątpię, aby na to się zgodził, — odrzekła dyrektorowa; — nigdzie on nie znajduje miru, ale błąka się z miejsca na miejsce jak żyd wieczny. Popęd wewnętrzny serca, mówi poeta — — —

— Czy on już dawno jest przy waszej trupie? — zapytał ją pan Hilgendorf.

— Od pół roku. Dawniej podobno wielkim był pijakiem, ale teraz jest trzeźwy i wstrzemięźliwy: gdy nie jest na scenie, natenczas jest cichy i milczący. Kto wie, czy go nie dręczą wspomnienia przeszłości, bo są chwile w życiu ludzkiem, mówi poeta —

Pan domu podniósł się z krzesła.

— No, dosyć tych gawęd, szanowna kierowniczko artystycznego grona. Niech się młodzi tu bawią, my starzy, panie Karstner, pójdziemy sobie po zwyczaju cokolwiek się zdrzemnąć, bo wieczór dziś dla nas będzie długi. No, i cóż tak pani na mego przyjaciela patrzysz, czybyś go może chciała zaangażować do swej trupy?

— Przepraszam, — odpowiedziała dyrektorowa, która w istocie bezprzystannie wpatrywała się w jubilera; — ale ten pan mimowolnie mi wpadł w oko; i cóż to było czego dośledziło me oko? mówi poeta, oto wielkie podobieństwo — — —

— Dosyć! — zawołał Hilgendorf wśród śmiechu, podczas gdy Karstner zasępiony powstał; — my już wiemy, co pani nam chcesz powiedzieć, ale jak pani widzisz, to ten pan tem zaszczytnem podobieństwem wcale nie jest bardzo zbudowany. A zatem do zobaczenia się dziś wieczorem w świątyni muz, ale tego nie mówi poeta! — dodał wciąż się śmiejąc.

— Tak, ale za to mówi poeta — no, koniec końcem, więc się polecam jaśnie wielmożnemu państwu i do stóp się ścielę. Adieu! Adieu!

Wśród poważnych ukłonów oddaliła się dyrektorowa; z uśmiechem spoglądało na nią całe towarzystwo, z wyjątkiem Kar-

sinera, który widocznie skwaszony wyraził życzenie udania się na krótki czas do swego pokoju, aby nieco odpocząć.

— Idź pan i zdrzemnij się pan dobrze, — rzekł do niego Hilgendorf, — abyś pan dziś wieczorem w dobrym był humorze.

Jubiler oddalił się. Przeznaczony dla niego pokój znajdował się także na parterze domu, okna jego wychodziły na ogród. Skoro tylko był sam, zamknął drzwi za sobą, a zakrywszy twarz rękami, pogrążył się w głębokiej zadumie.

Czyn, który go trwogą napełniał, dziś jeszcze musiał być dokonanym, bo już nazajutrz dar miał być Agacie wręczony. Ale im więcej się stanowcza chwila zbliżała, tem większy go dręczył niepokój — i dziwna rzecz — wesołe żarciki pana Hilgendorf jeszcze w posępniejsze go wprawiły usposobienie.

— Niesłychanie łudząco naśladowane,— mówił sam do siebie, wyciągając puzderko z kieszeni i przyglądając się garniturowi z uwagą; — najwprawniejszy mistrz bez dokładniejszego badania nie zdoła tych kamieni rozeznać jako fałszywe, a całe generacye mogą je po sobie odziedziczać, zanimby się fałszerstwo wykryło. A więc stanie się, bo się stać musi — — —

Lekkie kołatanie do drzwi przerwało mu jego zadumę. Czemprędzej schował do kieszeni puzderko i poszedł drzwi otworzyć; ale na pół przestraszony, na pół gniewny odskoczył, bo spotkał się z melancholicznem obliczem starego komika Macieja. Po raz pierwszy podpadło mu wielkie podobieństwo wędrującego komedyanta do niego samego.

— Cóż takiego? Co sobie asan życzysz? — zapytał szorstko.

— Przepraszam, jeżeli panu przeszkadzam, — rzekł komik z pokorą. Powiedziano mi, że pan jesteś jubilerem z miasta, dla tego przyszedłem tu do pana z prośbą.

— Tak jest, jestem jubilerem; ale asan mi na to nie wyglądasz, jak gdybyś chciał coś kupić, a ja nie kupuję, chyba od ludzi znajomych, którzy wykazać mogą, skąd te rzeczy pochodzą, które mi chcą odprzedać.

— A ja mimo to chciałbym panu coś sprzedać, panie. Jestto moja własność; złoty medalion z prawdziwemi perłami i brylantem w środku. Obraz tylko chciałbym sobie zatrzymać, który jest wewnątrz; noszę go od dzieciństwa na sercu i tam też on ma pozostać i pójść ze mną do grobu. Jestto pamiątka rodzinna, którą z czcią przechowywałem i spodziewałem się przekazać swemu synowi, — ale syn mój umarł wszystko dla mnie umarło na ziemi. Potrzeba mi grosza na stare lata, a ja nie chciałbym umierać gdzieś pod płotem, jak włóczęga jaki, dla tego chciałbym te płody i brylant sprzedać.

W czasie słów komedyanta drżał jubiler i spiesznie wyciągnął rękę, aby się przyjrzeć podanemu sobie medalionowi. Otworzył go, a wewnątrz ujrzał portret niewiasty o twarzy nacechowanej prostotą.

— Moja matka! A ty jesteś Piotrem — który z domu uciekłeś!

Przez chwilę patrzył Maciej w jubilera jak wryty, potem zadrgnęło coś na pooranem jego obliczu, jakoby błysk wśród ciemnych chmur; szeroko roztworzył ramiona, a łzy obfite popłynęły po szarych jego licach.

— Bracie! — Bracie!

Lecz jubiler zimno się cofnął. Twarde jego zawsze rysy były jakoby skamieniałe.

— Z daleka! Na twojej głowie ciąży gniew rodzicielski; uciekłeś z domu, aby niczem nie krępowane i hulaszcze wieść życie; skradłeś ten klejnot rodzinny; przez Gerdau, rówiennika naszego, posłałeś nam szydercze słowa pożegnania; twoje imię wygasło w sercach naszych: — idź, ja nie znam ciebie! Jubiler Karstner nie ma nic wspólnego z — wędrownym komedyantem.

— Bogumile!

Starzec błagająco złożył ręce.

— Bogumile, nie bądź nieczułym i słuchaj mię; parę słów tylko! Zbłądziłem, prawda, ale co uczyniłem, nie było skutkiem wyrachowanej złości, lecz tylko lekkomyślności. Michał Gerdau był tym złym duchem, który niezgodę siał pomiędzy nami; on, ubogi chłopak wiejski, umiał przypodobać się tobie i rodzicom, a mnie nienawidził, bo ja go na wylot poznałem. On to właśnie nakłonił mię do ucieczki. Zdawało mi się, że mnie w domu nie umiano należycie

ocenić i źle się ze mną obchodzono; surowe zasady rodziców naszych, ludzi prawych a -rostych, nie zgadzały się z mojemi zasadami; — chciałem być swobodnym, chciałem rodzicom pokazać, czego dokonać może nieznany i wzgardzony syn bez przymusu i krępujących go więzów, — w ten sposób usłuchałem podszeptów Michała. Tak jest, uciekłem z domu i zabrałem ze sobą obraz ukochanej matki. Jedyna to była pamiątka z rodzicielskiego domu, patrząc na obraz matki, chciałem czerpać moc i pociechę. Czyż mogłem w tej chwili o tem myśleć, że oprawa tego obrazu była taka kosztowna, iż można było przypuszczać, że tylko na jej wartość się połakomiłem? I sam teraz przekonujesz się, że tak nie było, ale że strzegłem tego klejnotu jak oka w głowie. Żebrałem, przybierałem nieco głodu, bo szczęście odwróciło się odemnie; ale ten medalion był dla mnie świętością. Był czas — po strasznych klęskach, — gdzie byłem rozwiozłym pijanicą i chciałem w gorzałce utopić boleść serca; bałwanowi pijaństwa poświęciłem każdy grosz, który z łaski litościwych ludzi odbierałem, ale medalion zachowałem nietknięty. Bracie, bracie! Wszystko byłoby dziś inaczej, gdyby ten zły człowiek nie był stanął pomiędzy nami!

— Dosyć tego! — zawołał jubiler, — nic nie chcę wiedzieć! Co mi do życia włóczęgi? Tu — to mówiąc wydobył sakiewkę, — tu masz dziesięć talarów. Klejnot zatrzymaj sobie, pieniądze te daruję tobie, ale teraz idź sobie i strzeż się, abyś się do mojej znajomości nie przyznawał!

— Okrutnym jesteś bracie! — rzekł starzec a głos jego łzami był stłumiony, — ciężko, niesłychanie ciężko pokutuję za grzech mojej młodości. Jedyny szczęśliwy moment w mojem życiu opłacać muszę piekielnemi mękami; ale i to doświadczenie przyjmuję z pokorą z ręki Bożej, bo Bóg jest sprawiedliwy. Nie mam w sercu gniewu ku tobie, nielitościwy człowieku; pomiędzy mną i tobą stawa niezatarty w mem sercu obraz mej matki jedynej, która dla mnie miała współczucie, ale za słabą była, by mię brać w obronę. Ona obydwóch nas rodziła: jakżebym więc ciebie miał przeklinać, tak jak ty mię przeklinasz? jakbym ja ciebie się miał wyprzeć, jak ty się mnie wypierasz? Ale modlić się będę za ciebie, bo w długich latach mojego tułactwa nauczyłem się poznawać ludzi, a oblicze człowieka jest jakoby księga otwarta; i w twojej twarzy je czytam: — Bogumile tyś nie jest szczęśliwym! Czarne myśli niepokoją twe serce!

Z podwojoną gwałtownością wybuchnął Karstner, gniewem pokrywając swoje zaniepokojenie. Rozkazująco wyciągnął rękę, która assygnatę dziesięciotalarową trzymała, ku drzwiom:

— Weź i wynoś się!

— Nie chcę twojej jałmużny, — rzekł komik łagodnie; — żegnam cię, żegnam na wieki! Niech ci Pan Bóg tak przebaczy, jak ja tobie przebaczam; niech cię obdarzy szczęściem i pokojem!

To mówiąc wziął medalion, który Karstner był położył na stole i zwolna wyszedł z pokoju.

Jubiler stał nieruchomy, jak gdyby wzrokiem przez zamknięte drzwi złamaną postać komedyanta chciał ścigać. Skoro bowiem niedosłyszał już odgłosu kroków starca, padł głęboko oddychając na krzesło.

Niezadługo jednakże znowu się zerwał: myśl o zbrodniczym zamiarze na nowo stanęła przed oczami jego duszy. Spojrzał na zegarek — wielki już był czas, — spiesznie więc wyszedł z pokoju i skierował swe kroki ku temu skrzydłu pałacu, w którem była sypialnia pana domu. Nie spotkał w drodze nikogo. Teraz stanął u progu. Ostrożnie obejrzał się w koło, potem rękę położył na klamkę: drzwi nie były wewnątrz zamknięte, więc cicho i ostrożnie wszedł do komnaty.

Był więc w pracowni pana domu; przez spuszczoną kotarę drzwi zajrzał do sypialni, gdzie pan Hilgendorf w głębokim śnie pogrążony leżał na sofie. Stąpając cicho po miękkich kobiercach, doszedł do okna, spuścił oba jego haczyki, poczem przymknął się do biórka. Wstrzymując oddech i z oczami wlepionemi w kotarę sypialni wydobył kluczyk z kieszeni i — — —

— Kto tam?

Tak zabrzmiał nagle głos Hilgendorfa z sypialni.

Pomimo śmiertelnej trwogi, która go dreszczem na wskroś przeszyła, posiadał Karstner tyle jeszcze przytomności, że po kobiercach cichaczem przyskoczył do drzwi, zapukał, drzwi otworzył i zamknął, tak jak gdyby po dwukrotnem pukaniu dopiero teraz wszedł do izby.

Pan domu podniósł się na sofie i patrzał na wchodzącego gościa.

— A, to pan? Proszę bliżej! — zawołał; — dobrze, żeś mię pan obudził, bobym może spał dłużej, jak mi zdrowo.

— Przepraszam, żem przeszkodził, — odpowiedział jubiler, — ale to, co mi przed chwilą powiedział mój kuzyn, spowodowało mię, że przyszedłem tudotąd, gdzie z panem samym mogę pomówić, aby pana przeprosić, że jutro już pana pożegnamy.

— No, i czemu tak spiesznie? Byłem przekonany, że parę dni zabawicie — — —

— Będę otwartym i powiem krótko i zwęzłowalo, o co chodzi, — odpowiedział Karstner. — Emanuel już od dawna rozmiłowany jest w pannie Agacie, a najpiękniejszem marzeniem jego życia było, że ją kiedyś nazwie swoją małżonką. Gdy mu pan dałeś do zrozumienia, że panna Agata ma być zaręczoną z panem Feliksem, nie posiadał się z rozpaczy, ale mimo to spodziewał się, że będzie miał dosyć mocy i siły, aby własnemi oczami patrzeć na szczęście swojego współzawodnika. Dla mnie to zrobił, że przyjął pańskie zaproszenie i przybył tudotąd; tymczasem więcej sobie przypisywał siły i zaparcia się samego siebie, jak w istocie posiada. Wierzaj mi pan, lepiej będzie, gdy jutro gościnny dom pański opuścimy.

Lekki uśmiech szyderczy zaigrał na ustach pana Hilgendorfa, gdy odpowiedział:

— Biedny młodzieniec! Istotnie bardzo go żałuję, ale uszanować powinienem najświętsze uczucia serca, i jakkolwiek niechętnie tylko puszczam swoich gości, to zupełnie muszę uznać powód rychłego odjazdu pana i pana Emanuela; jeden dzień jednakże musicie mi jeszcze poświęcić: jutro będę miał więcej gości na obiedzie, a nagły wasz wyjazd mogliby rozmaicie niekorzystnie dla was tłumaczyć; potem będziecie mogli wieczorną albo ranną pocztą z Hilgendorf wyjechać. Wszakże zgoda? ... a teraz musimy się przysposobić na tę wielką artystyczną biesiadę, która nas czeka. Trudno byłoby odmówić biednym ludziom, którzyby jałmużnę samą z upokorzeniem chyba tylko przyjęli; więc trzeba się już raz jeden poświęcić i przypatrzeć się tym mizernym komedyom. Pójdźmy, bo młodzież nas oczekuje.

ROZDZIAŁ III.

W stolicy pustej wystawiona była scena. Niespokojna publiczność, składająca się ze służby dworskiej i zamożniejszych wieśniaków obojga płci, oczekująca niecierpliwie rozpoczęcia przedstawienia, zapełniała cały jeden jej przedział, oświecony słabo kilkorgc kopcącemi olejnemi lampkami. Z ciekawością były oczy wszystkich zwrócone na jaskrawe pomalowane płótno, stanowiące kurtynę sceny, umieszczonej w drugim przedziale. W kącie przy scenie siedziało kilku muzykusów, zamówionych z sąsiedniego miasteczka, pilnie strojących swoje instrumenta. Na bojowicy, pomiędzy publicznością a sceną, ustawione były krzesła dla wielmożnego państwa i gości.

Cała publiczność już była zgromadzona, gdy pan Hilgendorf przybył z gośćmi. Natychmiast muzykanci zaczęli rzempolić jakiegoś przedpotowego "lendra", a gdy ostatni pisk przedętego klarnetu przebrzmiał, podniosła się kurtyna i pani dyrektorowa wystąpiła w różowej sukni, podniosła ręce jak gdyby na całą publiczność zlać chciała błogosławieństwo niebios i w napuszonych słowach powitała dostojnych gości i szanowną publiczność, oraz oznajmiła, co będzie grane. Gdy się kurtyna przed nosem tego różowego prologu spuściła, rozpoczęło się znowu rzempolenie, poczem rozpoczęła się komedya, po której jeszcze nastąpić miała jednoaktowa farsa. Była to dość mizerna sztuka, której główną podporą był komi[k].

Gdy Maciej wystąpił na scenę, [Kar]stner drżał i spuścił zawstydzony oczy [ku] ziemi. Ale ani jednem spojrzeniem, ani [naj]mniejszem ruchem nie zdradził komik, c[o] przed kilku godzinami zaszło pomiędzy o[...]

bydwoma braćmi. Maciej nie był wcale złym aktorem, skoro tylko się pojawił, nie było już znać jego starości, a wprawne ruchy zastąpiły słaby jego głos.

Publiczność była zupełnie zadowoloną i śmiała się do rozpuku z dowcipów komika; nawet Hilgendorf przychylnie potakiwał głową, ale oblicze jego spochmurniało, gdy zauważył, że Emanuel ze starca drwił i odzywał się, aby mu w grze przeszkodzić. Młody elegant widocznie wypił zanadto wina, a w gościńcu napił się piwa, bo wielkie miał pragnienie, teraz tedy rozpustna jego wesołość nie znała granic.

Komik widocznie był tego zwyczajny, że go brano na cel żartów i dowcipów, bo nie zważając na te przeszkody, grał spokojnie dalej; ale gdy zasłona spadła po pierwszym akcie, zwrócił się do niego Feliks.

— Proszę pana bardzo, panie Waller, — rzekł, — abyś pan oszczędzał tego starca i zaniechał tych upokarzających dla niego żartów, na które on wcale nie zasługuje. Mnie go szczerze żal, a ja z żartów jego śmiać się nie mogę: zdaje mi się, jakoby przez te żarty przebijał się jęk zranionego serca, zwichniętego życia. Nazwij pan to zbytecznemi czułostkami, albo jak tam pan chcesz, — mówił spokojnie dalej, widząc szyderczy uśmiech Emanuela; — ja się tego uczucia nie wstydzę.

— Feliks ma racyą; i ja także pana proszę, abyś pan mu dał pokój, — wtrąciła się Agata, która zaczęła się obawiać, aby nie przyszło do kłótni, lub jakiej awantury. — Uczyń to pan dla mnie, panie Waller, i pohamuj swą wesołość; sądzę, że i wuj pański tego samego jest zdania, bo tak poważnie wygląda.

— Ja niezupełnie zdrów jestem, — odpowiedział Karstner spiesznie, — i przepraszam, że zaraz po ukończeniu tej sztuki tu stąd się oddalę; potrzeba mi cokolwiek spoczynku, a wtenczas też może ból głowy ustąpi.

Zanim mu ktoś zdołał opowiedzieć, odezwał się dzwonek i zasłona się podniosła. Gdy się i ten drugi akt skończył, powstał Karstner, aby się oddalić.

— Chętniebyśmy panu towarzyszyli, — rzekł Hilgendorf, — ale nie chcę tym biednym ludziom psuć zabawy i wypada zostać do końca; spodziewam się, że sztuczka, którą jeszcze zagrać mają, długo nie potrwa.

Jubiler odszedł, a w kilka chwil potem zjawił się służący, który panu Hilgendorf pilny list przyniósł. Ten przeczytawszy go zwrócił się do Feliksa:

— Kochany Feliksie, pisze mi pan Amberg, że jutro rychło z rana wyjeżdża z miasta i dla tego prosi o natychmiastowe obliczenie naszych pretensyi za zboże, aby sprawę mógł uregulować. Bądź łaskaw zaraz to załatwić, bo posłaniec czeka. Jeżeli ci będzie potrzeba starych rachunków i kwitów, to znajdziesz je w mojem biórku. Tu masz klucz.

Feliks natychmiast się zabrał do odejścia.

— W przeciągu pół godziny wszystko będzie gotowe — rzekł; — przypadkowo miałem już wczoraj zamiar rachunek zestawić i mam też wszystkie papiery uporządkowane i przysposobione, z wyjątkiem tych, które u pana są w biórku.

— Dobrze, znajdziesz je na wiadomem ci miejscu; ja z resztą sam niezadługo za tobą przybędę.

Feliks uścisnął rękę Agacie, zimno się skłonił Emanuelowi i wyszedł. Jakkolwiek niechętnie odstępował od Agaty, to jednakowoż w duszy był rad, że się z nudzącego go przedstawienia mógł wynieść.

Dzień ubiegły był skwarny i duszny, a powietrze jeszcze się teraz wieczorem nie ochłodziło. Ponuro gromadziły się na niebie czarne chmury, zapowiadające burzę, a tylko tu i owdzie zamigotało słabe światełko gwiazdki przez gęste kłęby obłoków. Głęboka cisza panowała dokoła; w milczeniu pogrążony też był cały pałac, w którym tylko kilkoro służby pozostało

Teraz jakaś tajemnicza postać chyłątkiem się skrada przez ogród aż do okien sypialni pana domu. Kołnierz surduta podniesiony i ciemność wieczora nie pozwalają poznać twarzy; w tem zabłysło, a w świetle tem pokazała się twarz blada, wystrachowana jubilera. Już stanął pod oknami, których haczyki przed kilku godzinami był spuścił, i otworzył okna. Te były tak niskie,

że bez wielkiego natężenia mógł przez nie wnijść do izby. Jeszcze jednę chwilę się zawahał, a potem wszedł. Błyskawica rozjaśniła izbę, Karstner nie słyszał strasznego grzmotu, jedno tylko biórko widział przed sobą. Czemprędzej wyjął podrobiony kluczyk z kieszeni, włożył go w zamek i obrócił — Gerdau robota się udała, — i bez trudności otworzyły się drzwiczki. Teraz usłyszał w sieni stąpanie i w tej samej chwili otworzyły się drzwi, a Feliks ze świecą w ręku wszedł do izby.

— Karstner! Złodzieju!

Feliks przerażony stanął jak wryty, podczas gdy przerażenie staremu jubilerowi młodzieńczej dodało siły: przyskoczył do okna i jednym susem wyskoczył na ogród. Ale i Feliks natychmiast oprzytomniał i wyskoczył za uciekającym.

— Trzymajcie go! — wołał na cały głos; — tam, tam w alei ucieka złodziej!

Przypadkowo zbliżyło się dwóch parobków, którzy się rychlej wynieśli z gościńca i właśnie się chcieli udać do stajni; ci zaraz popędzili do ogrodu.

Karstner uciekał jak szalony; nie pytał, dokąd droga prowadzi, o to mu tylko chodziło, aby go nie przytrzymano. Myśli o samobójstwie krążyły mu po głowie. Śmierć dla niego była wybawicielką — byle tylko nie dać się schwytać, byle tylko nie być wystawionym na hańbę w obec świata! Nie miał on skrupułu, popełnić zbrodnią, ale wolał tysiąc razy śmierć, jak doczekać się wyjawienia tej zbrodni. Strach naprężył jego siły; nie czuł tych ciężkich kropli deszczu, które zwiastowały zbliżającą się burzę; nie widział tych błyskawic, które od czasu do czasu oponę chmur rozdzierały; — słyszał tylko głos ścigających go parobków, którzy kilkadziesiąt kroków byli za nim, a teraz słyszał ich szydercze śmiechy:

— Złapaj się, już go mamy!

Z rozpaczliwą trwogą spojrzał przed siebie; błyskawica, która na chwilę rozproszyła ciemności, stwierdziła słowa parobków. Aleja kończyła się wysokim żywym płotem z nieprzebytego, gęstego ciernia, a płot ten oddzielał ogród od pola. Nie było już dla niego wyjścia ani ratunku, bo podobny żywy płot ciągnął się po obydwóch stronach alei.

Wtem przed nim wychyliła się ciemna postać; ta sama błyskawica, która mu pokazała niemożność dalszej ucieczki, oświeciła też twarz starego wędrownego komedyanta. I ten bowiem po ukończeniu pierwszej sztuki opuścił stodołę i udał się do swego mieszkania, a że tu mu było gorąco i duszno, więc udał się do ogrodu, do swego ulubionego miejsca na alei. Ponieważ jednakże deszcz zaczął padać, więc chciał się schronić i zwrócił się znowu do pałacu, gdy usłyszał krzyki goniących parobków i w kilka chwil potem ujrzał bladą, wykrzywioną z przerażenia twarz swego brata, który naprzeciwko niemu leciał. Mimowolnie wyciągnął ku niemu rękę, ale Karstner nieprzytomny prawie, odepchnął go tak gwałtownie, że się potoczył i z jękiem jak długi padł na ziemię.

Jubiler popędził dalej. Teraz dopadł do żywego płotu, a nie mogąc uciekać dalej, rzucił się pod cierniem na ziemię, skulił się tak, że ani go widnąć nie było, zamknął oczy i tak oczekiwał, co się dalej stanie.

Ale to się nie stało, czego się obawiał. Słyszał wprawdzie jeszcze kroki i rozmaite głosy i wołania, ale do niego nikt się nie zbliżył; teraz gwar zaczął się oddalać i naokoło zaległa cisza, głucha cisza — tylko grzmot huczał nad jego głową, a ciężkie krople deszczu, przedzierające się przez liście, na głowę mu spadywały.

Czy cud go ocalił? Zwolna podniósł się z ziemi i szedł pod boczną ścianą żywego płotu ku pałacowi, do którego wszedł boczną fórtką. Nie po raz pierwszy on był gościem w Hilgendorf; znał więc dobrze wszystkie kąty, a szczęście mu sprzyjało, że doszedł do swojej stancyi, nie spotkawszy nikogo z domowników. Czemprędzej rzucił z siebie przemokłą odzież, którąby go mogła zdradzić, schował ją do kufra, a wziął drugi podobny ubiór, aby przebranie nie podpadło, potem padł złamany i na śmierć znużony na kanapę.

Niezadługo usłyszał pukanie do drzwi, zerwał się, a na zaproszenie jego wszedł pan Hilgendorf.

Pan domu długo i przenikliwie patrzał na swego gościa; wesołe jego oblicze bardzo

spoważniało, a nawet grzeczne jego słowa zdawały się być wymuszone.

— Przyszedłem, aby o zdrowie pańskie zapytać, — rzekł, — i jeżeli takowe na to zezwoli, zaprosić do wieczerzy. Czy możemy na pana liczyć?

— Pan zanadto łaskawy, — odpowiedział Karstner; — wprawdzie jeszcze nie zupełnie przyszedłem do siebie, ale krótki odpoczynek dobrze mi posłużył; spałem tak mocno, że nawet pukanie pańskie z ledwością mię obudziło.

— A zatem pan niezawodnie nie słyszałeś o tem, co się tu w czasie mojej niebytności stało? — zapytał pan Hilgendorf.

— Nic zgoła. I cóż się stało?

— Wyobraź sobie pan, jakto się na ludziach można zawodzić! Ten stary komedyant, nad którym wszyscy się litowaliśmy, któremu tu daliśmy schronienie, jest — złodziejem!

— Co pan mówisz! — zawołał jubiler udając największe zadziwienie.

— Tak jest. Posłuchaj pan, jak się to stało: Feliksowi potrzebne były niektóre papiery z mojego biórka; wchodzi więc do mojej sypialni i widzi kogoś przed tem biórkiem, które już było otworzone. Z przerażeniem stanął jak wryty, bo w pierwszej chwili sądził, że pana widzi przed sobą, więc mimowolnie zawołał i wymienił pańskie nazwisko.

Jubiler zbladł i wyjąkał:

— Ależ panie dobrodzieju — ja sądzę — — —

W tej chwili złodziej z młodzieńczą zręcznością wyskoczył oknem i zdołał uciec, chociaż Feliks natychmiast za nim popędził. Kilku parobków przybiegło na pomoc i dopędzili złodzieja w końcu alei, gdzie z pewnością potknął się o kamień, bo leżał jak długi na ziemi. Nadszedłem właśnie, gdy go przyprowadzili do pałacu i przetrząśli jego kieszenie. Był to Maciej, ów stary komedyant.

— I czy on się przyznał? — zapytał Karstner gorączkowo, a serce mu biło tak gwałtownie, jak gdyby mu pierś chciała rozsadzić.

— Do niczego się nie przyznał; na wszystkie zarzuty odpowiada z takim spokojem, że istotnie trudnoby go było uważać za winnego, gdyby go nie byli schwytali na gorącym uczynku i gdyby Feliks go nie był poznał, a pan sam wiesz, jak dziwnie on do pana podobny. Na szczęście nie dopiął on swego celu, bo nic u niego nie znaleziono, prócz tego złotego medalionu, którego ten stary ćwik z pewnością nie nabył w uczciwy sposób, chyba że jest tombakowy, a brylant ze szkła pospolitego. Odebrałem mu ten medalion, zanim go kazałem zamknąć do komórki we wieży na pierwszem piętrze, aby go jutro oddać do sądu. Na tę noc w bezpiecznem jest zamknięciu.

To mówiąc wydobył Hilgendorf ten sam medalionek, który Maciej po południu tego dnia chciał odprzedać bratu. Po raz drugi spojrzał syn w oblicze matki, która dawno już spoczywała w grobie. Gwałtowna burza miotała duszą Karstnera, chociaż na pozór był spokojny i zimny. Lotem błyskawicy krążyły mu myśli po głowie. Maciej, to było rzeczą konieczną, powinien być nieszkodliwym; dotychczas nie zdradził on jeszcze brata: — a gdyby wiedział, o co chodzi, czyby go dłużej oszczędzał? Czego się mógł spodziewać po człowieku, którego niedawno temu tak nieczule odepchnął od siebie, a przed chwilą w ogrodzie brutalnie uderzył, a który mógł straszne przeciwko niemu podnieść oskarzenie, które, chociażby się stanowczem wypieraniem z niego wykręcił, jednakowoż plamę na nim by pozostawiło? Podczas gdy oczy jego wryte były na medalion, a ręką niby ciężkość ważył, powziął plan stanowczy. Przystąpił tuż do pana domu, ujął go za rękę i drżącym głosem rzekł z cicha:

— Jesteś pan honorowym człowiekiem, panie Hilgendorf, więc powierzę panu tajemnicę, tajemnicę straszną, która cienie swe straszne rzuca na resztkę dni moich: — ten medalion jest prawdziwy i jest własnością komedyanta, zawiera on obraz jego matki, — jego matki, która zarazem jest moją matką, bo Maciej, ten wędrowny komedyant, ten złodziej, jest — moim bratem!

— Dla tego to podobieństwo! — zawołał pan Hilgendorf wzruszony; — i jakeś pan tę tajemnicę odkrył?

Przez ten medalion, który mi ten niesz-

częśliwy dziś po południu chciał odprzedać, — odpowiedział Karstner. — Jako chłopiec mały uciekł on z rodzicielskiego domu; ja sądziłem, że umarł — o, stokroć byłoby lepiej, gdyby tak było!

— I pan na to zezwalasz, że on swój nędzny zawód dalej prowadzi? — zapytał pan Hilgendorf z oburzeniem prawie; — i pan nawet przypatrywałeś się jego błazeństwom i milczałeś na żarty. które Emanuel z niego stroił?

— Cóż miałem robić, gdy ten nieszczęśliwy człowiek, któremu ofiarowałem pomoc i dom swój, szyderczo mię od siebie odepchnął? Ale jednakowoż mię serce boli, panie Hilgendorf, bo zawsze to mój brat —

— A więc on tu pozostać nie może, — rzekł Hilgendorf; — już dla samego pana musi się stąd oddalić, im dalej, tem lepiej. Wielkie szczęście, że go jeszcze nie kazałem zamknąć do komórki u wójta! Ale jutro rano już go tu być nie powinno!

Karstner nie posiadał się z radości; nie gniewał się w tej chwili o to, że mu się zbrodnia nie udała! Dobry jaki pomysł Gerdaua, albo szczęśliwy traf, mógłby znowu stosunki jego majątkowe naprawić, byleby tylko imię jego nie zostało shańbione!

— Czy dobrze słyszę? — zawołał. — Więc pan tak daleko posunąłbyś swą dobroć, iżbyś mu uciec dozwolił?

— To jest moim zamiarem i pan sam masz mu drogę ucieczki wskazać, — rzekł Hilgendorf. — Otworzę panu ten pokój, który dotyka do izdebki, służącej obecnie bratu za więzienie; obie te izby połączone są drzwiami; stamtąd po bocznych schodach dostanie się na dziedziniec, a że brama ze względu na gości przez długi czas jeszcze pozostanie otwartą, więc będzie mógł bezpiecznie się wynieść. Oddaj mu pan ten medalion i tę sakiewkę; niech żałuje za swój występek i niech się poprawi.

— Niech Bóg panu zapłaci! — rzekł Karstner z udanem wzruszeniem.

— Aby zapobiedz wszelkim podejrzeniom, że to pan mu dopomogłeś do ucieczki, — mówił pan Hilgendorf dalej; — poślę pana Emanuela po pana, gdy pan będziesz z bratem rozmawiał, aby pana poprosić do towarzystwa. O nim — dodał ze śmiechem — nikt nie będzie przypuszczał, aby w plan ucieczki był wtajemniczony, a on będzie musiał w danym razie poświadczyć, że więzień był jeszcze przy waszem odejściu i żeście drzwi dobrze zamknęli. A teraz chodźmy, bo wielki jest czas.

Hilgendorf wprowadził swego gościa na pierwsze piętro, gdzie we wieżyczce był mały, rzadko zwiedzany pokoik: tu był stary komedyant zamknięty. Całe umeblowanie tej szczupłej izdebki, którą pozostawiona przez parobka latarnia stajenna słabo tylko oświecała, podczas gdy na dworze od czasu do czasu jaskrawe błyskawice chmury rozdzierały, składały się z kilku krzeseł i jednej sofy, którą z litości przykryto derką. Maciej stał przy oknie i wzrok wytężony miał w ciemność nocy; oblicze jego było spokojne, a nawet wypogodzone i tylko od czasu do czasu uczucie goryczy przebijało się na ustach, gdy uszu jego dochodziły wesołe śmiechy, bo właśnie pod jego izdebką znajdował się salon. w którym towarzystwo pana Hilgendorf było zebrane.

— On jest pomiędzy nami, — szepnął sobie; — on się może śmiać i bawić się, podczas gdy wie, że nad głową jego brat siedzi uwięziony, jako złodziej! A jednakowoż — widzi Bóg — nie chciałbym się w tej godzinie z nim mijać!

W tem usłyszał szelest — obrócił się i rumieniec pokrył śniade jego oblicze, bo drzwi do sąsiedniego pokoju były otworzone, a w progu stał brat Bogumił.

— Bracie, daruj mi! — szepnął jubiler, — na miłość matki naszej zaklinam cię, daruj mi!

W tej chwili wszystko było zapomniane, serce starego komedyanta zadrgało radośnie; nie pamiętał on już, jak go Karstner dziś po południu nieczule od siebie odepchnął, widział on tylko przed sobą żałującego za swoje winy brata i z łkaniem rzucił się w ramiona, które tenże ku niemu wyciągnął.

— Bogumile, — rzekł z cicha, — biedny Bogumile, nieszczęśliwy bracie, cóżeś uczynił?

(Dokończenie nastąpi.)

RZEŻ W KROŻACH.

(Ciąg dalszy.)

Jan *(mówi:)*

Panie! miej litość! Pozostaw nam kościół! Jeżeli już klasztor i ziemię zabraliście, to choć kościoł nam pozostawcie. A jeżeli nie możecie, albo nie chcecie tego uczynić, to pozostawcie nam choć kilka dni czasu, póki nie otrzymamy odpowiedzi od najjaśniejszego cesarza.

Agata i Anna.

(Klękają przed naczelnikiem i chcą ucałować mu nogi, lecz ten nie dozwala, cofa się w tył i wychodzi; za nim, wychodzą: ksiądz, assesor, doktor i uriadnik.

SCENA VII.

(POZOSTALI.)

(Wszyscy pozostają w zadumaniu, smutni, kobiety płaczą, ocierają łzy i t. d.)

Bartłomiej *(zażywa tabakę i t. d.)*

No i cóż się wam zdaje, co teraz czynić będziecie.

Maciej.

My sami nie wiemy, co teraz czynić.

Bartłomiej.

Musimy pilnować kościoła i nie oddać go, choćby głowy nam poodcinać mieli. Ja widzę, że ci łotrzy gotowi i duszę nam wydrzeć!

Jan.

Dzięki Bogu! Bartłomiejowi choć trochę oczy się otwarły! On zawsze mówił, że car jest dobry, że car jest nie winien.

Bartłomiej.

Ja i teraz myślę, że car jest nie winien, ale winni są: generał-gubernator Orżewski, gubernator Klingenberg, naczelnik i inni. Zobaczycie, jak car zupełnie inną przyśle nam odpowiedź. Musimy tylko pilnować kościoła we dnie i w nocy, żeby go nie zabrali, nim otrzymamy odpowiedź od cara. Musimy ze łzami błagać naczelnika; żeby poczekał. Musimy czynić co tylko możebne, żeby nie zabrali kościoła, aż przyjdzie odpowiedź z Petersburga.

Maciej.

Bartek mówi prawdę! Musimy dzień i noc pilnować kościoła, musimy modlić się i czekać na odpowiedź cara. Ja słyszałem, że naczelnik przyjął od zakonnic kilkaset rubli. Jeżeliby on nic nie mógł uczynić, toby przecież pieniędzy nie przyjmował. A oprócz tego i car przecież musi dać nam odpowiedź na nasze prośby.

Bartłomiej.

A czemuż to ty, Janie, nic nie mówisz?

Jan.

Trzeba czynić wszystko, co tylko możebne, żeby choć jeden dzień dłużej kościół nam pozostawił nie zabrany; ale ja nie myślę, żeby car nas wysłuchał i pozostawił nam kościół.

Kurtyna spada.

AKT III.

SCENA I.

Lud, gubernator, naczelnik, assesor i uriadnicy.

Lud *(zgromadzony w kościele, klęczący przed ołtarzem, na którym pali się kilka świec, i śpiewa:)*

Bóg naszą ucieczką i mocą, pomocnikiem w uciskach itd. (*lub też*). Przed oczy Twoje Panie winy nasze itd.

Gubernator.

Po prześpiewaniu zwrotki przychodzi w towarzystwie assesora i uriadników. Wszedł-

szy, odwraca się do uriadników i daje im taki nakaz: Słuchajcie! Przygotujcie się dobrze! Bądźcie mądrymi i rozumnymi! Miejcie przygotowane: nahajki, rewolwery, i szable! Pokażcie, że jesteście dobrymi sługami cara.

Assesor i Uriadnicy *(oddając uszanowanie gubernatorowi odpowiadają:)*

Słuchamy i uczynimy wszystko, jak nam przykazano! (*Poczem każdy ogląda swoją szablę, rewolwer, nahajkę itd.*)

Jan, Maciej i Bartłomiej.

(*Gdy gubernator skończył mówić, Bartłomiej z krzyżem na czele ludu wychodzi przeciw gubernatorowi, obok niego Jan i Maciej.*)

Gubernator *(ze złością do nich.)*

Dla czegoście wy tu się zgromadzili bydło!

Jan.

Najjaśniejszy panie!

Gubernator *(ostro:)*

Milczeć (*do assesora i uriadników.*) Odbierzcie od nich krzyż!

Assesor i Uriadnik.

(*Dopadłszy do Bartłomieja, odbierają krzyż, zaczynają bić, kopać, popychać, pędząc do więzienia, poczem wracają.*)

Jan.

Najjaśniejszy panie! Myśmy się tu zgromadzili błagać najjaśniejszego pana o pozostawienie nam kościoła!

Gubernator.

Na kolana bydło! Milczeć! (*do naczelnika!*) Proszę przeczytać nakaz! (*Jan i Bartłomiej klękają.*)

Naczelnik *(wyjmuje papier i czyta:)*

Ten kościół powinien być zapieczętowany! Władza przyznała, że ten kościół jest niepotrzebny!

Jan *(klęcząc z Bartłomiejem zaczynają prosić:)*

Najpokorniej błagamy najjaśniejszego pana! Pozostawcie nam ten kościół! A jeżeli władza pragnie przerobić ten kościół na prawosławną cerkiew, to my złożymy pieniądze na pobudowanie nowej cerkwi, tylko pozostawcie nam ten kościół.

Gubernator.

Wypłacajcie wy tylko podatki, których od was władza wymaga, (*do uriadników:*) Powypędzajcie tych suki-synów z kościoła tylko nie żałujcie nahajek!

Uriadnicy.

Słuchajmy! (*Rzucają się na ludzi, biją, kopią itd.*)

Gubernator.

(*Z zadowoleniem pogląda na bijących i zachęca:*) Dobrze!... dobrze!.... dobrze bijcie tych suki synów!... Możecie strzelać do tego bydła!

Uriadnicy.

(*Biją szablami, nahajkami, a potem strzelają: Od strzału upada Maciej i umiera.*)

Agata *(również upada od strzału i mówi:)*

Jezus, Marya! głowę mi rozsiekli. Nie wytrzymam! Księdza! Księdza!!

Jan.

(*Podczas gdy uriadnicy poczynają strzelać, biegnie do dzwonicy, zaczyna dzwonić; poczem wróciwszy mówi głośno:*) Bracia! bijmy tych łotrów uriadników! za co oni nas zabijają! czego oni chcą od nas! (*Uriadnicy wychodzą,*)

Gubernator.

(*Gdy ludzie zostali wypędzeni z kościoła, idzie tam i pisze*)

Bartłomiej.

(*Przychodzi powoli, włosy rozczochrane, twarz i ręce pokaleczone, pokrwawione, drżący od bólu, mówi:*) Jak usłyszałem głos dzwonów, rozbiłem drzwi i przyszedłem tu. (*Pogląda na kościół i pomordowanych i mówi:*) O jak boleśnie. To nie człowiek, kto nie troszczy się o oswobodzenie ojczyzny. Kto nie stara się o wyrwanie braci swoich z rąk tyrana. Ten nie człowiek, kto sam nie uczy się i dziatek swoich nie stara się oświecać prawdziwą i dobrą nauką! My nieszczęśliwi, ponieważ byliśmy i jesteśmy prostaczkami nierozumiejącymi potrzeb naszej ojczyzny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)